Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem.

WYCHODZI RAZ NA MIESIĄC

ROK VIII WARSZAWA, GRUDZIEŃ 1933 R. Nr. 12

Redaktor Odpowiedzialny: Ks. St SKIERSKI
Adres Redakcji:
Warszawa, ul Leszno Nr. 20 m. 4. Tel. 11.38-32

Wydawca:
KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ
PARAFJI EWANGELICKO REFORMOWANEJ
Adres Administracji - Leszno 20. Tel. 11.46-32.

WARUNKI PRENUMERATY: Rocznie zł 12; półrocznie zł. 6; kwartalnie zł 3, Pojedyńczy numer zł. 1.50

CENY OGŁOSZEŃ: Okładki strony 4-ej 150 zł; strony 2-ej 100 zł; strony 3-ej 75 zł.

Konto czekowe Pocztowej Kasy Oszczędności Nr 12.423

TREŚĆ NUMERU:

1. *Ks. K. Ostachiewicz.* — Drugi Adam . . . 169
2. *Ks. Emil Jelinek.* — Baptyści (dokończenie) . 171
3. *P. Hulka-Laskowski.* — Moim korespondentom . 174
4. *Lector.* — Paragraf aryjski 176
5. *Ks. Emil Jelinek.* — Sylwetka Kalwina na tle Reformacji 177
6. Wiadomości z Kościoła i o Kościele . . 183
7. Ofiary. Porządek nabożeństw 184

ROK VIII WARSZAWA, GRUDZIEŃ 1933 R. Nr. 12

Redaktor odpowiedzialny: **Ks. St. Skierski.** Adres Redakcji: WARSZAWA, UL. LESZNO Nr. 20 m. 4

Wydawca: KOLEGJUM KOŚCIELNE WARSZAWSKIEJ PARAFJI EWANGELICKO-REFORMOWANEJ
Adres Administracji: LESZNO 20.

DRUGI ADAM.

Rzym. 5, 12—21

Jeden z myślicieli naszych, Artur Górski, wypowiedział w jednym ze swoich utworów głęboką myśl. „W duszy każdego człowieka" — pisze on — „jest jakiś topielec, który czyha, by go wciągnąć na dno". Tak jest w istocie. Mniemam jednak, że prawdę tę można zastosować do bardzo niewielkiej tylko cząstki ludzkości, ogół bowiem ludzi został już ściągnięty przez swego topielca na dno. Jeżeli pozwalam sobie na tę poprawkę myśli powyższej, czynię to na podstawie bardzo poważnych przesłanek.

Myśl ludzka, ferując prawdy ducha, dotyczące człowieka, opiera się na tej pono niezbitej zasadzie, że człowiek w założeniach swej duszy jest istotą dobrą, uzdolnioną do tworzenia wartości dobrych, ma dobrą wolę. Ale ta jego wola paraliżowaną jest niestety w większości, w każdym razie w wielu wypadkach, przez zły wpływ otoczenia, osobiste złe przyzwyczajenia i skłonności, które jednak można wyplenić, oraz przez pewne przyczyny niejawnej natury, a do czasu mniej lub więcej niezależne od człowieka. Reszta wyczynów jego zasila ogólno-ludzki skarbiec wartości bezwzględnie dobrych. Ostatnia uwaga tłumaczy nam możliwość postępu ludzkości przy zastosowaniu, naturalnie, wysiłków w dziedzinie wychowywania i coraz to lepszego poznawania prawd ducha. Przy powyższem rozumieniu sprawy, prawda naszego myśliciela jest bezwzględnie słuszną. Wyraża ona przestrogę, skierowaną do każdego z nas i nawołującą do czujności przed niespodzianką różnorodnych przeszkód i niebezpieczeństw, zagrażających duchowemu życiu człowieka.

Nie mogę w braku miejsca wdawać się tutaj w bardziej szczegółową krytykę postulatu, stwierdzającego istnienie w założeniach duchowych człowieka dobrej woli. Pragnę przeciw-

stawić tylko prawdzie i rozumowaniu człowieka — prawdę Bożą. Chrystus Pan powiedział w jednej ze swoich nauk, charakteryzujących człowieka: „beze mnie NIC uczynić nie możecie" (Ew. Jana Św. 15 w. 6). Jeżeli kierujemy się w naszem życiu prawdami ludzkiemi, tem bardziej musimy liczyć się z prawdami Bożemi. Jeżeli nie mogę nic uczynić bez Chrystusa Pana, nie mogę przeto mieć bez Niego dobrej woli. Wniosek powyższy burzy więc u podstaw całe budowanie człowieka co do jego dobrej natury.

„Beze mnie nic uczynić nie możecie". A to dlatego, żeśmy tylko ludźmi, żeśmy potomkami pierwszego Adama. A pierwszy Adam zrodzony z prochu ziemi. Pierwszy Adam — cielesny, a nie duchowy, podległy prawom materji, ciała, a nie ducha. Przyziemny, a nie górny. Ktoś może zaprzeczyć temu. Bóg przecież tchnął w Adama ducha swego ożywiającego, nie może więc on podlegać wyłącznie prawom ciała. Tak. Ale przez swe nieposłuszeństwo Adam zbagatelizował i odtrącił od siebie i swego potomstwa dar ducha. Zapragnął stać się równym Bogu Pragnienie w zasadzie dobre, ale realizowane drogą pychy i nieposłuszeństwa, drogą cielesną a nie duchową. Tem samem wybrał on raczej materję, wyniósł ją ponad ducha. Tak samo potoczyło się poprzez wieki życie człowieka — ludzkości; coraz potężniej opanowywała go materja. U samej podstawy duszy pierwszego Adama nastąpiło fatalne przestawienie zwrotnicy życiowej, a koleiny tej drogi coraz bardziej wżynały się w ziemię i uniemożliwiały wreszcie wszelkie zboczenia na tor inny, właściwy. Drobne może, ale zasadnicze jądro zła, w biegu życiowem coraz to bardziej oblepione błotem ziemskości, urosło do przeogromnych rozmiarów bryły zła, staczającej się po pochyłej powierzchni. Niema powrotu, niemożliwe zatrzymanie się, niemożliwa naprawa skutków fatalnego kroku.

Ale oto w pomrokach złowieszczego bytowania ziemskiego rozbrzmiewa jakaś cudowna pieśń chwały: „Chwała na wysokościach Bogu". „Zwiastuję wam radość wielką, która będzie wszystkiemu ludowi: iż się wam dziś narodził Zbawiciel, który jest Chrystus Pan" (Ew. Św Łuk. 2, 14, 10, 11). Narodził się drugi Adam nie z prochu ziemi, ale z Ducha Św. Narodził się po to właśnie, by topielców wskrzeszać do życia nowego, by ludzkość podźwignąć i pchnąć na właściwe tory, by zło, przyczynione przez pierwszego Adama, naprawić. Jak pierwszy Adam nastawił ludzkość na drogę pychy i nieposłuszeństwa woli Boga, tak drugi Adam nastawił ją na tory pokory i bezwzględnego posłuszeństwa. Zardzewiała od wieków zwrotnica uległa mocy Zbawiciela by zmienić w zasadzie kierunek życia. „Jak przez jednego człowieka grzech wszedł na świat" i zapanował wszechwładnie, tak przez jednego człowieka zlany został na ludzkość dar łaski Bożej „ku usprawiedliwieniu". Odtąd ma panować Łaska Boża „przez sprawiedliwość ku życiu wiecznemu".

Drodzy Czytelnicy! Nie mamy w sobie z natury dobrej woli. To jest aksiomat życia. A bez dobrej woli, co warte są najszczytniejsze bodaj zamierzenia nasze. Ale dobrą wolę posiąść można. To drugi, niezbity aksiomat. Zdobyć ją można, ponieważ zaistniał na ziemi człowiek Bóg, zrodzony z Ducha Świętego, który nie pogardził tym duchem, ale przyjął go, rozsławił i uwiecznił objawieniem życia swego na ziemi, uwielbił i uwielbia go do bezkresów w życiu chwały poza ziemskiej. Jesteśmy zrodzeni z ciała — prochu ziemi, jesteśmy przeto potomkami pierwszego Adama. Musimy narodzić się z Ducha Świętego, by stać się potomkami drugiego Adama. Usiłujmy tylko przechylić się wewnętrznie do prawd już nie ludzkich, ale Bożych. Wybór przez nas rodzaju prawdy zadecyduje o przyszłości i losie każdego z nas, jak i całej ludzkości.

Ks. K. Ostachiewicz.

Ks. EMIL JELINEK.

BABTYŚCI.

(dokończenie).

O ruchu nowochrzczeńczym albo anabaptystycznym słyszymy natomiast dopiero w średniowieczu. W Szwajcarji i we Francji powstają drobne społeczności religijne, które przyjmują do swego grona nowych członków przez akt powtórnego chrztu, skąd też powstała ich nazwa. Ruch ten nabrał jednak, niestety, niesławnego rozgłosu dopiero w czasach Reformacji. Podczas pobytu Lutra na Wartburgu skrajnie radykalne fermenty pod wodzą Karlstadta przeprowadzają w Wittenberdze reformację po swojemu. Do tych niespokojnych elementów dołączają się nowochrzczeńcy, zwani od miasta ich pochodzenia prorokami cwikauskimi. Fanatyczny ich przywódca były ksiądz katolicki, wybitny uczony i znakomity mówca, ale duch niespokojny Tomasz Münzer, propagował jednocześnie pewne idee komunistyczne. Brał on żywy udział w wojnie chłopskiej r. 1525 i zagrzewał chłopów do buntu, zapewniając ich, że zdoła ich swym płaszczem uchronić od strzał i kul nieprzyjacielskich, a ten, który z nich padnie wnet też powstanie. Oczywiście zapewnienia Münzera okazały się złudnemi. Bezbronnie stojące chłopstwo i nucące pieśń Przyjdź Duchu Święty, wojska książęce zupełnie rozgromiły i wzięły do niewoli. Przywódca ich w panicznym strachu ratował się ucieczką i ocknął się dopiero na strychu jednego z domów Miluzy, skąd go wywleczono i ścięto.

Jeszcze osobliwszą formę przybrał ruch nowochrzczeńczy w latach 1534—35 w westfalskiem mieście Monasterze (Münster). Obywatel monasterski, obłąkaniec Knipperdoling, oraz były ksiądz katolicki Rothman przyjęli do swych domów holenderskich uciekinierów z miasta Lejdy: krawca Jana Bockholda i piekarza Jana Matthiesena. Uciekinierzy ci zdołali wmówić swym gościnnym, ale naiwnym gospodarzom, że dostąpili szczególnego objawienia Bożego, w którem Bóg polecił im chrzcić ludzi powtórnie. Knipperdoling i Rothman tak się przejęli tą nową Ewangelją, iż poczęli ją głosić ze szczerym zapałem, godnym lepszej sprawy. Liczba zwolenników proroka Jana z Lejdy (Matthiesena), który miał rzekomo zstąpić z nieba, wzrosła wkrótce do tego stopnia, że zawładnęli oni miastem i założyli w niem mistyczne królestwo Sjonu. Po skrupulatnem splądrowaniu domów bogaczy, ogłosili wspólność majątku, a Jana Bockholda obwołali swym królem. Komunistyczny ten król na wzór niekomunistycznego króla Salomona otoczył się wcale niebrzydkim i wcale pokaźnym haremem i wiódł życie zgoła nieprzystojne, w każdym razie nie takie, jakieby prorokowi i nowochrzczeńcowi wieść przystało. Ale też i koniec tego awanturnika był żałosny. Mieszczaństwo, steroryzowane masowemi egzekucjami, zbuntowało się przeciwko swemu królowi i otworzyło w nocy bramy miejskie wojskom biskupa, oblegającego heretyckie miasto. Król Jan i kat jego Knipperdoling zostali żywcem rozszarpani rozpalonemi kleszczami, a szczątki ich dla przestrogi wywieszono z wieży Lamberta w żelaznych klatkach.

Te niesławne początki ruchu nowochrzczeńczego zdołał zatrzeć (około r. 1540) cichy i świątobliwy holender Menno Simmons, również były ksiądz kalolicki. Zwolennicy jego nauki, nazwani od jego nazwiska Mennonitami, odznaczali się niebywałą uczciwością, zabiegliwością i całym szeregiem innych cnót chrześcijańskich. Byli oni również nowochrzczeńcami.

Dzisiejsi jednak Baptyści, przynajmniej historycznie, nie mają zgoła nic wspólnego ani z monasterskimi nowochrzczeńcami, ani nawet z nabożnymi Mennonitami. Ks. prof. Lesik zgoła niepotrzebnie ubolewa nad tem, że dotychczasowi „tak katoliccy jak protestanccy historycy dziejów reformacji przedstawiali cały ruch Anabaptystów w nieprawdziwem świetle i często z nieukrywanem uprzedzeniem“. Ks. prof. Lesik niesłusznie bowiem sam zdaje się łączyć i mieszać dzisiejszy baptyzm z wyżej wspomnianemi ruchami. Kolebkę dzisiejszego baptyzmu szukać raczej należy na gruncie angielskiego independentyzmu t. j. na gruncie wolnych zborów reformowanych angielskich. Stąd właśnie pochodzi kalwińsko-reformowana ideologja dzisiejszych Baptystów, której nie wzięli ani od proroków cwikauskich, ani od Mennonitów, ani też sami nie wyczytali jej z Pisma Św. Sami też nie nazwali się nowochrzczeńcami lub anabaptystami, ale baptystami, podkreślając tem samem swą niezależność zarówno historyczną, jak też i ideologiczną od poprzednich ruchów nowochrzczeńczych. Powstają oni w latach 1633—1640 t. j. w okresie zagorzałego sporu dogmatycznego o predestynację kalwińską, wszczętego przez profesora Jakóba Arminjusza z Lejdy. Baptyści angielscy właśnie pod wpływem tego sporu rozpadają się na samym początku swego istnienia na dwa róż-

ne kierunki dogmatyczne. Jeden z nich przychyla się do kalwińskiej predestynacji, drugi — do zasad arminjanizmu, a raczej do rzymsko-katolickiego pelagjanizmu t. j. współdziałania łaski Bożej i dobrych uczynków człowieka w procesie nawrócenia i zbawienia człowieka. Długich na to trzeba było lat zanim się te dwa różne kierunki zjednoczyły w r. 1891 w Unji Baptystów Wielkiej Brytanji i Irlandji. Ponadto w łonie baptyzmu angielskiego powstał jeszcze inny kierunek — sabatyści.

Zrazu Baptyści prześladowani w Anglji nie mogli szerzej rozwinąć swej działalności. Całkowitą swobodę zapewniono im w r. 1689. Zbory ich kultywowały głęboką i szczerą pobożność i przestrzegały surowej karności kościelnej. Wydały one cały szereg wybitnych jednostek, wśród których jedno z czołowych miejsc zajmuje John Bunyan (zmarł w r. 1688), autor wielce poczytnej alegorycznej książki Pielgrzymka chrześcijanina. Światową sławą cieszy się również C. H. Spurgeon (zmarł w r. 1892), jeden z najznakomitszych mówców, godzien stanąć w równym rzędzie z Demostenesem, Cyceronem i Janem Złotoustym. Kazania jego cieszyły się tak liczną frekwencją, że musiano zbudować specjalny dom modlitwy, mogący pomieścić 6 tysięcy słuchaczy.

Baptyzm angielski zostaje wcześnie przez emigrantów purytan przeszczepiony na grunt amerykański. Roger Williams już w roku 1639, a zatem wcześniej od kwakra W. Penna, właśnie na zasadach baptyzmu zakłada w Rhode Island Stan, przeniknięty duchem całkowitej religijnej tolerancji i wolności. Stąd przenika babtyzm do reszty Stanów amerykańskich i dziś liczy tam blisko 9 miljonów wyznawców, nie licząc dzieci i sympatyków, wraz z którymi tworzy pokaźną cyfrę 25 miljonów. W Stanach Zjednoczonych A. P. zajmuje on zarówno ilościowo, jak i jakościowo jedno z poczestniejszych miejsc amerykańskiego ewangelicyzmu. Ale w Ameryce podobnie jak i w Angiji rozpadł się on na kilka mniejszych kierunków. Wśród nich najliczniejszy stanowią Campbeliści lub Disciples of Christ (uczniowie Chrystusowi). Twórcą tego kierunku, liczącego około 1½ miljona wyznawców, był na początku XIX w. Aleksander Campbell. Mniejszą grupę tworzą Baptyści dnia siódmego (Seventh Day lub Sabbatarian Baptists), świętujący podobnie jak Adwentyści sobotę.

Za pośrednictwem niemieckiego kupca Jana Onckena (1800 –1884) baptyzm w pierwszej połowie ubiegłego stulecia przedostaje się z Anglji do Niemiec. Oncken propaguje babtyzm nie tylko w swym kraju ojczystym, ale szerzy go również i wśród współziomków, osiadłych w krajach ościennych, a więc i w Polsce. Wprawdzie w Polsce już w czasach Reformacji w łonie Braci polskich nurtował prąd nowochrzczeńczy i wywarł zdaje się nawet pewien wpływ i na baptyzm angielski[1]), ale po wypędzeniu w r. 1660 z granic Rzeczypospolitej tych „nurków" albo „jednobożan", jak zwano niejednokrotnie polskich Antytrynitarzy, ruch ten zanikł niemal zupełnie. Pojawia się on w Polsce dopiero w szóstym dziesiątku ubiegłego stulecia i to za sprawą właśnie Onckena, który propaguje go wśród swych współziomków, osiadłych w Polsce. Dziś według statystyki z r. 1929, którą podaję za Ks. Lesikiem, Baptyści posiadają w Polsce 89 zborów i 12.500 członków, w tem 52 zbory narodowości słowiańskiej z 4200 ochrzczonymi członkami (bez dzieci i sympatyków). Zbory te jak widać nie są wielkie. Pierwszy zbór baptystyczny narodowości słowiańskiej, dokładniej czeskiej, to zbór w Zelowie, założony w r. 1872 przez byłego reformowanego, późniejszego kaznodzieję Baptystów, Karola Jersaka. Założony on został wśród Zboru reformowanego i werbował swych członków również tylko z grona reformowanych.

Misję swą, niestety, polscy Baptyści, bo o nich tylko tutaj mówię, uprawiają najchętniej wśród ewangelików, a szczególnie wśród reformowanych, choć nie gardzą też wyznawcami innych denominacij ewangelickich. Jest to niezmiernie przykre, a samych Baptystów przynajmniej w oczach społeczeństwa polsko-ewangelickiego nie stawia w najlepszem świetle. Nie zamierzam grzmieć przeciwko Braciom Baptystom lub występować przeciwko tej lub innej ich nauce. Jestem bowiem przekonany, że kto szczerze miłuje swoje wyznanie, musi szanować również przekonania drugich, chociażby się z niemi zupełnie nie zgadzał. Ale nie sądzę, aby „nawracanie" ewangelików, uprawiane niejednokrotnie przez polskich Baptystów, miało coś wspólnego z ewangelickiem braterstwem. W ten sposób polscy Baptyści przestają być twórczymi członkami polskiej duchowej rodziny ewangelickiej, a stają się tylko jej pasorzytami.

Baptyście potrzebny jest do zbawienia chrzest w postaci zanurzenia, podobnie jak judeo-chrześcijaninowi z I w. po Chr. potrzebna była obrzezka i sabat. Tego mu nikt odebrać nie może, ani nawet nie chce. Sam jed-

[1]) Baptyści angielscy chrzcili początkowo w sposób przyjęty przez wszystkie chrześcijańskie Kościoły (z wyjątkiem Prawosławia, które chrzci przez trzykrotne zanurzenie) przez pokropienie lub polanie. Dopiero około r. 1640 zaczęto chrzcić w Londynie przez zanurzenie i to jak się zdaje pod wpływem Braci polskich, którzy tę formę chrztu już na synodzie w Węgrowie (r 1565) uznali za najwłaściwszą. Z tego to właśnie powodu nazywano ich także nurkami.

nak nie powinien naprzykrzać się ze chrztem ewangelikowi, który wierzy, że Chrystus niewyczerpany w łasce i miłości zbawi go i bez „nurkowania". Baptyści, podobnie jak stary Schleiermacher, wierzą, że ich zbory są społecznością samych tylko „wierzących" i świętych. I tego miłego złudzenia nikt nie myśli ich pozbawiać. Ale ewangelicy wiedzą z codziennego doświadczenia, że „wierzący" nie zawsze jest świętym i dlatego swoje własne zbory nazywają skromnie społecznością tych, którzy szukają dopiero Chrystusa, jako też i tych, którzy Go już znaleźli i służą Mu w czystości serca, w duchu i prawdzie. Zbór chrześcijański na ziemi to nie jest jeszcze ecclesia triumfans w niebie, ale to dopiero ecclesia militans, gromadząca w swych szeregach owce i kozły, z których kiedyś sam sobie Chrystus stado wybierze. Nie są—ci owce tylko u Baptystów, ale i u reformowanych, luteran, metodystów i katolików. I wśród nich znajdzie Chrystus owieczki, a nie tylko same kozły. Baptyści uważają za swój święty obowiązek zwiastowanie Chrystusa i chrzczenie w imię Boga w Trójcy Św. Jedynego. Tego prawa nikt nie śmie im odebrać. Ale ewangelicy mają prawo domagać się od swych Braci w Ewangelji Chrystusowej, aby czynili to po bratersku. A nie jest braterskie np. „nawracanie" na uboczu i po cichu członków innych wyznań w czasie naprawdę braterskich, wspólnych nabożeństw w Powszechnym Tygodniu Modlitwy. Nie jest również braterskie indywidualne „nawracanie" poszczególnych ewangelików namową i naprzykrzaniem się prostackimi wywodami o ważności i konieczności do zbawienia chrztu. Chciałbym wierzyć, że to tylko nieporozumienie lub tylko wybryk niepoczytalnych jednostek.

Kaznodzieje baptystyczni zachęcają swych współwyznawców do gorliwej „pracy dla Chrystusa" i wzywają swych wiernych do pozyskania choćby jednej „duszy" rocznie. Jest to niezmiernie piękne i całkowicie słuszne. Tę żarliwość Baptystów dla swego wyznania należy podziwiać. Ale jej skutki są wręcz smutne, albowiem tak napełniony duchem Bożym i ożywiony zapałem misyjnym Brat Baptysta, czy siostra Baptystka, choć czyta codzień i co chwila powtarza słowa Chrystusowe: Idźcie i nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego, ucząc je przestrzegać wszystkiego, com wam przykazał — nie idzie z kijem apostolskim w dłoni w szeroki świat pogański głosić Jezusa Chrystusa Ukrzyżowanego i treści boskiej Jego Ewangelji. Brat Baptysta ten świat pogański widzi wokół siebie (wprawdzie nie zawsze się on tu myli), a w każdym nie-baptyście upatruje „niewierzącego" i „poganina". Usadawia się tedy pod bokiem ewangelickiego Zboru i namową, obietnicami, wieczorkami, rzniętą i dętą orkiestrą „nawraca" tych, którzy nie gorzej od niego wierzą w Chrystusa, zwiastuje im nie Ewangelję Chrystusową, którą również nie gorzej znają od niego, ale głosi im jedynozbawczy chrzest dorosłych przez zanurzenie, choć ci niewierni poganie zostali ochrzczeni w imię Boga w Trójcy Św. Jedynego znacznie wcześniej od niego, bo już w swem dzieciństwie.

Przyznać trzeba, że taki brat prostaczek pracuje wśród równych sobie intelektualnie i kulturalnie ewangelików-prostaczków ze skutkiem. Dla prostaczków kościelne przedstawienia i zabawy są często „żywem życiem", a nie jakąś ewangelicką „martwotą". Najgłębszych tajemnic wiary i religii nie odczuwa on głębią abstrakcyjnej myśli, której nie rozumie,— i nie pracą ducha, do której nie przywykł ale zewnętrznymi zmysłami. Dla niego religja nie musi być „mądra", wystarczy kiedy jest hałaśliwa, widzialna, namacalna. Stąd właśnie płynie jego skłonność do utożsamiania religji i życia religijnego z zewnętrznymi ich przejawami. Na tym prostym fakcie psychologicznym opiera swój autor tet wśród szerokich warstw ludowych Kościół Rzymsko-Katolicki. Człowiek prosty nie umie zrozumieć, że człowiek inteligentny inaczej może niż on odczuwa i przeżywa w swej duszy społeczność z Bogiem i dlatego tak często nazywa go niewierzącym lub też „martwym duchowo".

Przed kilku laty jeden właśnie z takich ludzi, widząc mnie palącego papierosa, z miną arbitralnego sędziego zawyrokował że z mą wiarą nie jest jednak wszystko w porządku. Niedawno pytałem innego z jakiego powodu sam zarzucił palenie, czy ze względów oszczędnościowych, zdrowotnych, czy też tylko dlatego, że go gniewał własny jego nałóg. Nie — odpowiedział serjo — odkąd się nawróciłem zrozumiałem, że nie mogę wchłaniać w siebie dymu nikotynowego i plugawić Ducha Św. Rzeczywiście, zrozumiałem wtedy, że jednak z mą wiarą nie jest wszystko w porządku. Przypomniał mi się wprawdzie 7 rozdział Ewangelji Marka, a szczególnie słowa Chrystusowe: czyż nie rozumiecie że wszystko, co z zewnątrz wchodzi w człowieka nie może go pokalać, ale to, co z człowieka pochodzi to go pokala? Milczałem jednak. Inny znowu dowodził, że odkąd się „nawrócił" nie może nosić... słomkowego kapelusza. Po dzień dzisiejszy nie mogę zrozumieć dlaczego ten nieszczęśliwiec nie mógł nosić w lecie słomkowego kapelusza, a ze spokojnem sumieniem nosił w zimie futrzaną czapkę. Może ten słomkowy kapelusz był dla niego samego zgorszeniem, słusznie więc, że go nie nosił, boć lepiej wejść do Królestwa Bożego bez słomkowego kapelusza na głowie, niż razem z nim wejść do ognia piekielnego wyrzutów własnego sumienia.

Przykłady takiej naiwnej, prostaczej pobożności możnaby przytaczać setkami. W każdem wyznaniu znajdą się ludzie, którzy tak właśnie pojmują Ewangelję Chrystusową. Nie jest ona dla nich ani wdzięcznem jarzmem, ani lekkiem brzemieniem (Mt 11_{30}). Jakżeż często jako tako myślący ewangelik musi westchnąć z głębi serca: o, sancta simplicitas i zawstydzić się przed obcymi za swego współwyznawcę. Winniby o tem i nasi Bracia Baptyści pamiętać i swój pług misyjny zapuścić raczej w swoją własną rolę, niż nieść kaganiec oświaty i żagiew Ewangelji Chrystusowej tym, którzy o jednym i drugim mają jeśli nie lepsze i głębsze, to w każdym razie nie gorsze od nich pojęcie, lub conajmniej choćby przez wzgląd na braterstwo winniby swój zapał misyjny skierować w nieco innym kierunku. Zachodzi tu tylko niepotrzebne nieporozumienie. Nie wiadomo bowiem o co im w takiej pracy chodzi, czy o pracę dla Chrystusa, czy tylko o korzyści ich własnego Zboru, o pozyskanie nowych chrześcijan, czy o łapanie dusz. A może obawiają się, że biedne dusze ludzkie gdzieindziej zbawienia nie dostąpią, jak tylko w ich Zborze? Obawiam się, że złotousty Spurgeon innego byłby zdania.

P. HULKA-LASKOWSKI.

MOIM KORESPONDENTOM.

Z powodu artykułu mego „Spowiedź kalwina" (Wiadomości Literackie z 17 grudnia 1933 Nr. 525) otrzymałem wiele miłych listów od katolików i od współwyznawców ze słowami uznania i ze słowami krytyki. Ponieważ niepodobieństwem jest dla mnie odpowiadać wszystkim, chcę tą drogą powiedzieć, o co mi chodzi w moim artykule.

Powstał on spotanicznie pod wpływem wycinków z różnych gazet, które „demaskowały" mnie jako kalwina. To życzliwe zwracanie uwagi na fakt, że Hulka-Laskowski to kalwin, miało na celu zdyskredytowanie mnie jako pisarza polskiego. Niekatolik więc nie Polak. Rzecz prosta, że nie chodziło li-tylko o platoniczne stwierdzenie faktu. Wszak poseł ziemi wieluńskiej, Piotrowski, kalwin, został na żądanie duchowieństwa rzymskiego, Mazurów i Litwy, wygnany z sali sejmowej z uzasadnieniem, że „poseł Piotrowski nie może mieć głosu w państwie katolickiem, ponieważ jest sektarz". To się działo roku 1718. Ta „czystka" rzymska nie kończyła się na sejmie.

W roku Pańskim 1921 kulturalny skądinąd pisarz polski, Feliks Brodowski, napisał w książce „O duszę Polski" słowa godne zapamiętania: „Można sobie wyobrazić Polaka sprzedawczyka, renegata, wyzbywającego się wyznania i narodowości dla pełnej misy, ale pomyśleć Polaka wyznania mojżeszowego, prawosławnego, nawet luteranina nie można". Jest, oczywiście, luteranin Dąbrowski w narodowym hymnie polskim, ale co to p. Brodowskiego obchodzi, gdy daje pierwszeństwo sprzedawczykowi katolikowi przed uczciwym innowiercą! W świetnym podręczniku historji literatury polskiej Ignacego Chrzanowskiego mają lutrzy piękne słowo uznania dla swojej uczciwości; jest tam mowa o smutnej sprzedajności sądów i jest słowo z „Satyra" Twardowskiego: „...gdyby czasem nie lutrzy oparli się sami, snadźby wszystek trybunał wzgórę stał nogami". Ale i to zelantów rzymskich niczego nie uczy i do niczego nie zobowiązuje. Mniemają oni, że każdy niekatolik musi milczeć i nie ma prawa do zabierania głosu w sprawach kultury polskiej. Pamiętamy jeszcze soczyste nagłówki artykułów takiego „Polaka-katolika", który wypowiadał się o „rozzuchwalonych ewangelikach", kłamiąc przy tej sposobności, ile tylko wlezie. „Polaka-katolika" już niema, ale duch jego jeszcze istnieje, a raczej: upiór jego straszy.

Trzeba z tem było skończyć. Ci poczciwi ludzie, którzy ze swego serwilizmu rzymskiego czynią zasadę religijną, społeczną i polityczną, mniemają, że każdy kalwin, czy luter, prawosławny, czy metodysta, już dla tego, że nie jest rzymskim, lecz ewangelicznym katolikiem, musi milczeć, czy nawet wstydzić się za swoją herezję. Należało im przypomnieć, że się mylą i że kalwini polscy w stosunku do swego niskiego odsetku statystycznego mają olbrzymi odsetek zasługi wobec kultury polskiej i narodu polskiego.

Poraz pierwszy od czasów reakcji katolickiej odezwałem się tedy w wielkim piśmie literackiem jako kalwin, aby powiedzieć wszystkim ludziom dobrej woli, czem i kim jest ewangelik polski w stosunku do społeczeństwa, do państwa, do katolicyzmu i... do Rzymu. Czytając pisma ewangelików niemieckich, śród których bezpośrednio po wojnie rodziła się idea katolicyzmu ewangelicznego, a także pisma kalwinów francuskich, którzy

z całym naciskiem podkreślali swoją katolickość ewangeliczną, uświadomiłem sobie fakt, że to, co nam wojujący klerykalizm sugerował jako katolicyzm, było tylko i tylko romanizmem.

Wspominam współżycie z katolikami jako z dobrymi, zawsze życzliwymi braćmi. Mieszkałem do dwudziestego roku życia w domu fabrycznym w takich warunkach, że stykałem się bezustannie z katolikami. Ileż serdecznej życzliwości doznałem od nich, gdy byli pozostawieni samym sobie! Ale gdy przy sposobności odzywał się wojujący klerykalizm rzymski, wszystko jakoś mierzchło i gasło. I nie gorliwość katolicka bywała dokuczliwa, lecz gorliwość rzymska.

My wszyscy, ewangelicy najróżniejszych wyznań, jesteśmy katolikami, to znaczy chrześcijanami powszechnymi, nie związanymi z żadnem miastem i z żadnym krajem, jak nie są terminologicznie związani z żadnym krajem chrześcijanie prawosławni. Nie mówimy więc o wyznaniu genewsko-katolickiem, czy londyńsko-katolickiem, bo pojęcie chrześcijaństwa jest w naszem wyobrażeniu czemś daleko większem, niż dawne granice imperjum rzymskiego. I nic nas nie oddziela od naszych współobywateli-katolików, ani wyznanie, ani kult, ani pewne zwyczaje, bo to wszystko nie jest powodem do sporów, czy jakiejś niechęci. Dzieli nas jedynie i wyłącznie, ale zato gruntownie: Rzym.

Kiedy jako młody chłopiec czytałem, że papież Grzegorz XVI wyklął powstanie polskie, zrodziła się we mnie naiwna myśl, czemu nie było polskiego papieża, który byłby to powstanie pobłogosławił. Dopiero później zrozumiałem w całej pełni, że polityka rzymska nie jest identyczna z wyznaniem katolickiem, alę że raczej opiera się ona na tem wyznaniu. Trzeba było wielu lat dla wyzbycia się wielu sugestyj i zrozumienia, że Rzym papieski jest potęgą nie religijną i zarazem polityczną, ale przedewszystkiem polityczną, a dopiero potem religijną. Tylko że te sprawy bywają rozmyślnie mieszane. Kto potępił powstanie polskie w roku 1831? „Namiestnik Chrystusa", czy polityk? Kto wysłał zabójców, aby zamordowali Elżbietę, królowę angielską? Kardynałowie kościoła chrześcijańskiego, czy bryganci włoscy? Kto śpiewał Te Deum na wieść o rzezi z nocy św. Bartłomieja? Czy to był „następca św. Piotra i zastępca Boga na ziemi", czy też zdezorjentowany i zdemoralizowany władca?

Wszyscy wiemy, że co innego Kościół chrześcijański, a co innego polityka rzymska. Ale jak odróżnić jedno od drugiego, a głównie: jak oddzielić? Rzym to stolica kompromisu, który kompromituje i chrześcijaństwo i katolicyzm. Trzeba zdać sobie sprawę, że najwięksi katolicy najgorliwiej zwalczali Rzym za jego kompromis. Chłędowski przytacza np. fakt, że gdy chodziło o wygnanie z Rzymu prostytutek, skończyło się na tem, że przydzielono im starsze kobiety do czuwania, aby pensjonarjuszki domów rozpusty „na chwile urzędowe zdejmowały ze siebie szkaplerze i wszelkie świętości". I tak jest ze wszystkiem. Wielcy pisarze katoliccy w Niemczech i Francji mówią wyraźnie, że monsignorowie rzymscy to nie katolicyzm.

Nieoceniony w swej wielkości charakteru arcybiskup szwedzki, Natan Soederblom w „Evangelisk Katolicitet" napisał słowa, które są programem życia także Kościoła ewangelickiego w Polsce. „Katolickość nie może przyjść z góry lub z zewnątrz jako ustalona forma, lecz zrodzić się musi ze świadomości chrześcijańskiej... Brak nam ekumenicznej postawy. Stary człowiek w nas, mianowicie zacięty konfesjonalizm i ciemne a zarozumiałe lekceważenie innych społeczności kościelnych, winien zostać zduszony w nas i wytępiony, a miłość Chrystusowa musi wzmagać się w nas z każdym dniem. On ramionami swemi rozwartemi na krzyżu obejmuje całe chrześcijaństwo". Słowa te przypominam specjalnie tym z pośród szanownych moich korespondentów, którzy żądają ode mnie, abym podkreślił konieczność działalności misyjnej Kościołów ewangelickich w Polsce. Czyniłem to oddawna, wskazując na obowiązki, jakie spoczywają na dziedzicach Modrzewskiego, Reja, Trentowskiego i tej całej puścizny, która jest na indeksie rzymskim, a więc jest niejako kamieniem, „który odrzucili budujący" i który stać się winien kamieniem węgielnym przyszłej kultury polskiej.

Głosy wielkich działaczy ewangelickich we Francji, w Niemczech, w Szwecji są wołaniem o syntezę. Przez bardzo grube nieporozumienie słowo „katolicyzm" oznaczało dla ewangelika przeciwnika. Dzisiaj, gdy z powierzchni życia sięgamy w głąb, rozumiemy, że katolicyzm to program. Realizacji tego programu przeciwstawia się Rzym dziedzic władców rzymskich, który z religji uczynił politykę a z polityki swojej czyni religję. We Francji wychodzi wspaniale redagowany miesięcznik „Esprit", organ odnowy katolickiej (nie rzymskiej, ale właśnie katolickiej) i rzecz charakterystyczna: miesięcznik ten załącza ogłoszenia wydawnictw ewangelickich, a w tekście swoich artykułó czerpie z dorobku ewangelickiego z rzetelną objektywnością. Myślę, że i u nas czas, aby zrozumieć w całej pełni rolę Rzymu w dziejach Polski i wyeliminować z naszego życia narodowego ten czynnik przemocy jednych nad drugimi, który odpowiada interesom Rzymu, ale nigdy interesom Polski i Kościoła chrześcijańskiego z jego programem społecznym i demokratycznym Królestwa Bożego.

LECTOR.

PARAGRAF ARYJSKI.

Niemiecki Kościół ewangelicki ma nielada kłopot z narzuconym mu „paragrafem aryjskim". Jezus Chrystus jest Żyd, apostoł Paweł — Żyd, pierwszy kościół nazywa się w terminologji naukowej „żydo-chrześcijańskim". Cóż więc pomoże sławetny paragraf aryjski wobec takiej wymowy zasadniczych faktów? A tu jeszcze wielka zasada religijno-moralna, która powiada, że już niema ani Żyda, ani Greka, lecz że jest jedna wielka rodzina chrześcijańska. Co więcej, nawet ten Paweł, który równa wszystkich w Jezusie Chrystusie zachowuje pewne pierwszeństwo dla Żydów. Znamienny jest jego zwrot w Liście do Rzymian: „...Żydowi najprzód, potem i Greczynowi". Ten zwrot powtarza się często i oznacza, że Żydzi, mając pierwszeństwo w dziele zbawienia, nie wyłączają Greków i innych narodów. W rasizmie niemieckim stosunek ten ulega zmianie zasadniczej: żywioł germański pierwszeństwo bierze dla siebie i Żydów wyłącza. Dla ich niższości rasowej i moralnej, jak brzmi uzasadnienie.

Duma germańska nie jest niczem nowem. Już Fichte w swoich „mowach do narodu niemieckiego" wywodził, że chrześcijaństwo pochodzące z Azji stało się jeszcze bardziej azjatyckiem przez wypaczenie jego ducha i że głosi ono tylko niemą bierność i ślepą wiarę, a przeto jest obcem i cudzoziemskiem nawet dla Rzymian (fremdartiges und ausländisches). Gdy do głosu doszedł wielki teoretyk rasizmu, Houston Stewart Chamberlain, w pismach jego zostało potępione nietylko żydostwo, lecz i romanizm, w którym dopatrzył się ucieleśnienia chaosu narodów, kultury i religji. Podobnie jak Fichte, tak i Chamberlain jest zdania, że tylko północna część Włoch posiada ludność „dobrej" rasy, natomiost nieco dalej, osobliwie zaś w Rzymie i na południe od Rzymu zaczyna się barbarzyństwo, w którem wszystko pomieszane jest jak groch z kapustą. Z tych założeń i przesłanek wniosek jest prosty: dobra rasa to dobry świat i wysoka kultura, zła rasa (osobliwie rasa mieszańców), to zły świat i niska kultura.

Jeśli chodzi o zasady chrześcijańskie, taka polityka rasistyczna przeczy im bezwzględnie. Trzeba wybierać: albo rasizm, albo chrześcijaństwo. Nietzsche, który jest dalszym ciągiem myśli Fichtego, nie waha się i powiada, że chrześcijaństwo jest chorobą woli i religją niewolników, ale Chamberlain nie zdobywa się na taki radykalizm i szuka drogi pośredniej, dowodząc, że Chrystus nie był Żydem, ale Aryjczykiem. a przeto, że religja powstała na gruncie jego nauki nie jest żydowska. ale aryjska. Ten wybieg jest tylko wybiegiem i niczem więcej. Rozumieją to nawet nieco krytyczniejsi rasiści. Gdy więc teraz zrodził się ów sławetny „paragraf aryjski", chodziło o to, aby go wylegitymować naukowo, a to tembardziej, że niektóre uniwersytety ewangelickie (mam na myśli wydziały teologji ewangelickiej), potępiły ów paragraf.

I rzecz dziwna: w obronie tego zdyskredytowanego moralnie paragrafu aryjskiego wystąpiła prawowierna, najprawowierniejsza ewangelicka Erlanga, jak u nas nazywają Erlangen! Oczywiście, pozytywiści erlageńscy nie mogą zaprzeczyć, że chrześcijaństwo jest uniwersalne i wyklucza wszelki nacjonalizm i rasizm, ale jednocześnie wywodzą, że według apostoła „każdy ma pozostać w tem powołaniu, w którem powołany jest" (I Kor. 7,20). „Czy kto chce, czy nie chce, biologicznie należy do pewnego narodu i z tem trzeba się liczyć. Z drugiej strony organizacja kościoła winna przystosować się do formacji narodowej i historycznej swoich członków ...Kościół jako całość administracyjna winien liczyć się z epoką, w której z organizacji misyjnej przemienia się w organizację narodową... Czy żydzi zamieszkali w Niemczech należą całkowicie do narod niemieckiego? O tem kościół jako taki decydować nie może. Dla niego Izrael jest ludem wybranym i przeklętym, w którym przygotowało się dzieło naszego zbawienia. Jego rozproszenie między narodami wywołuje charakter tymczasowy rozdziału między narodami i przepowiada jedność obiecaną światu przez Chrystusa w Królestwie Bożem".

Przechodząc do sprawy narodowości, wydział teologji ewangelickiej w Erlangen wywodzi, że gdy chodzi o przynależność Żydów do narodu niemieckiego sprawa ta nie jest kwestją chrztu, ale kwestją krwi, a więc sprawą biologiczną... Otóż naród niemiecki bardziej niż kiedykolwiek uważa Izraela za cudzoziemca. Zdaniem jego żydostwo wyemancypowane jest wielkiem niebezpieczeństwem dla życia niemieckiego i dlatego naród niemiecki musiał przedsięwziąć kroki zabezpieczające jego własne istnienie...".

Jednem słowem apologja paragrafu aryjskiego. Co tu zdumiewa, to przedewszystkiem fakt, że głos ten pochodzi z centrum prawowierności ewangelickiej. Liberalizm ewangelicki staje przeciwko paragrafowi aryjskiemu, chociaż nie czuje się skrępowany tem wszyst-

kiem, co zdaniem szkoły religijno-historycznej należy traktować jako uwarunkowane okolicznościami historyczno-geograficznemi. Natomiast ortodoksja ewangelicka, która wszystko bierze dosłownie, znajduje łatwy wybieg dla uzasadnienia swego nacjonalizmu i ekskluzywizmu rasowego.

Jest to oczywiście, tylko pierwszy krok na drodze swoistej ewolucji. Jeśli trzeba wyłączyć Żydów z wszelkich stanowisk Kościoła ewangelickiego, to nie będzie można zadowolić się eliminacją Żydów współczesnych. Konsekwentniej postąpili katolicy francuscy, skupieni w „Action Française", odrzucając nietylko Żydów, lecz i Biblję, apostołów, Jezusa Chrystusa, jako przedstawicieli ducha żydowskiego. Głosili też „katolicyzm ateistyczny". Do tego musi przyjść także w łonie kościoła ewangelickiego, gdzie koncepcje filozofów rasistycznych muszą wyprzeć ducha ewangelicznego w imię interesów narodowych i to na podstawie I Kor. 7, 20! Jakież byłoby to śmieszne, gdyby nie było takie smutne!

.....

Ks. EMIL JELINEK.

SYLWETKA KALWINA NA TLE REFORMACJI.

Już stary Ben-Akiba miał pono powiedzieć, że niemasz nic nowego pod słońcem. W kilka stuleci później powiedział to samo, choć może w nieco innej formie, sławny Hegel, a za nim znakomity jego uczeń Cieszkowski. Dzieje biegną po wielkiej spirali — głosiła filozofja idealistyczna. Na spirali są punkty leżące wprawdzie nad sobą, ale można przez nie poprowadzić prostą pionową. Są to więc jedne i te same punkty, leżące jeno na różnych kondygnacjach spirali. I rzeczywiście, w dziejach są również fakty w najgłębszej swej treści bliźniaczo do siebie podobne, różniące się tylko zewnętrzną formą — piętnem i rozpiętością, dzielącego ich czasu. Stosunek Jezusa do Żydostwa z jednej, a Reformacji do katolicyzmu z drugiej strony to właśnie taki jeden i ten sam punkt, posuwający się po wielkiej spirali dziejów do coraz to wyższych jej kondygnacyj.

Salomonowa świątynia w Jerozolimie była w czasach Jezusowych centralnym punktem życia starego Żydostwa. Wprawdzie stary Izraelita bardzo dobrze wiedział, że Bóg jest wszechobecny, nie mniej jednak swą świątynię, której bogactwem i pięknem chlubił się przed cudzoziemcem, uważał za specjalny przybytek Boży, w którym chwała (kawod, aura) Najwyższego przebywa w wyższym stopniu, niż gdzie indziej. W pojęciu Izraelity zasięg tej chwały ogarniał cały świat, ale im dalej od świątyni, im dalej od Jerozolimy tem więcej moc jej malała. Nic więc dziwnego, że za świątynią tęsknił i rad w niej przebywał. „O, jak są miłe przybytki Twoje, Panie zastępów — śpiewał o niej. Pragnie i bardzo tęskni dusza moja do sieni Pańskich,... lepszyć ci jest dzień w sieniach Twoich, niż gdzie indziej tysiąc" (Ps. $84_{1, 2, 10}$). W niej składał swe najkosztowniejsze ofiary, w niej spędzał również swe najuroczystsze święta. W uroczyste dni pielgrzymował do niej poprzez doliny i góry, pustynie i smutne wąwozy morwów, kędy setki nabożnych pielgrzymów ginęło w strasznych mękach pragnienia—i stawał w świątyni kornie przed obliczem Jahwy, jak poddany w feudalnym zamku przed obliczem swego pana. Szczególnie w okresie świąt paschy świątynia jerozolimska gromadziła w swych murach, a właściwie otwartych dużych dziedzińcach i hallach, niezliczone tysiące pobożnych pielgrzymów z całego kraju, a nawet i z zagranicy z t. zw. diaspory, a więc z Egiptu, Rzymu i Syrji. W dni te było tu rojno i gwarno jak na jarmarku. Na ogromnym dziedzińcu porykiwało przeznaczone na rzeź ofiarną bydło, pod hallami i krużgankami tłoczyli się wrzaskliwi kupcy, dalej rozłożyli swe stoły wekslarze, wymieniający obiegowy państwowy pieniądz na monetę świątynną, za którą jedynie można było nabyć stworzenie ofiarne, jak wołu, kozła owcę lub gołębia. U bramy usadowił się obdarty żebrak i za suty datek wrzaskliwie odmawiał modlitwy i błogosławił szczodrość ofiarodawcy. Wprawdzie z dalekiego podwórza kapłańskiego płynęły podniosłe tony harf i fletni, ale zbożne melodje psalmów głuszył nieopisany wrzask kupców, szwargot bankierów, płacz dzieci i ryk bydła. Sprawę świętą pokryła gruba warstwa spraw tego świata. Modlitwa stała się intratnym interesem, nabożeństwo—kupieckim procederem, a Świątynia Pańska—„jaskinią łotrów". Nic dziwnego, że chwycił Jezus porzucone od pętania ofiarnego bydła

powrozy i jął wypędzać tych, co z miejsca świętego miejsce kupczenia i handlu czynili [1]).

Lecz myliłby się ten, któryby sądził, że spawiedliwy gniew Jezusa został wywołany widokiem zewnętrznego tylko plugawienia świątyni. O nie! Oczy Jezusowe patrzyły znacznie głębiej. Po stokroć bardziej oburzało Go ujarmarcznienie tego, co świętem być miało. Raziło Go zmechanizowane ofiarnictwo, bezmyślne odklepywanie pacierzy—brak bojaźni i czci Bożej. Wszak w tej świątyni zamiast o pokucie i dziękczynieniu mówiło się jeno o pieniądzu i kupnie. Ludzie sądzili, że z chwilą złożenia na ołtarzu kupionego wołu, kozła lub gołębia, rachunek między nimi a świętym Bogiem został należycie wyrównany. Wprawdzie prorocy stale wołali w imieniu Pańskiem: „miłosierdzia chcę, a nie ofiary",—ale był to głos wołającego na puszczy. Zresztą prorocy wymarli. U steru religijnego życia stanęli „wirtuozi pobożności", Faryzeusze i ich nieodstępni towarzysze uczeni w Zakonie, rabi-talmudyści. Uczony rabi-talmudysta dzień i noc ślęczał nad Zakonem, a co się w jego schorowanej głowie wylęgło, wnet to Faryzeusz w czyn wprowadzał. I tak powoli rodziła się tozefta, borajta, miszna i gemara, tak rodził się Talmud i ducha proroczego zabijał. Dawniej za czasów proroków ludzkie serce prosto i szczerze w rozmodleniu wznosiło się ku Bogu, w okresie zaś Jezusa zatęchło ono w atmosferze kazuistyki faryzejskiej, zamierało ono w stęchliźnie prawnych kruczków i wybiegów, szperało ono rozpaczliwie w Zakonie i wyszukiwało w skołatanej głowie nowych prawnych formułek, jak żyć i działać należy. Prowadziło to jeno do literalizmu, giętkiej moralności, rytuału, pysznego ceremonjału i duchowej martwoty. Musiał tedy przyjść z powrozem w ręce, a Bożem Słowem w ustach Jezus z Nazaretu i oczyścić świątynię Pańską, aby ją uczynić miejscem modlitwy w duchu i prawdzie. Lecz nie na długo to pomogło. W kilkanaście stuleci później taką samą rolę wobec Kościoła Chrystusowego musiała odegrać Reformacja.

Wiadomo powszechnie, że aż do początku XVI w., przynajmniej w zachodniej Europie, istniał tylko jeden Kościół chrześcijański. Na przestrzeni wieków uczynił on wiele dla dobra ludzkości. O tem nigdy zapominać nie należy. Przecież nie kto inny jeno rzymsko-katolicki mnich i rzymsko-katolicki kapłan zapuszczał się odważnie w głębie puszcz nieprzebytych i z kagańcem cywilizacji docierał do pogańskich Germanów i Gallów, ba, dotarł nawet na wyspy Brytyjskie, u których załamała się niegdyś moc niezwyciężonych Cezarowych legjonów, a obutą w mnisi sandał stopę oparł na ujerzonych dzikiemi fiordami skalistych brzegach kraju skandynawskich Wikingów i Normanów. Napół barbarzyńskie te ludy wiodły tryb życia wędrujących, koczowników, utrzymując się z pasterstwa, łowiectwa i grabieży. Dopiero katoliccy mnisi z iście benedyktyńską cierpliwością uczyli te półdzikie hordy i plemiona zapuszczać lemiesz w rolę, imać się rzemiosła i wieść życie osiadłe. I tak mozolnie katolicki mnich kładł podwaliny dzisiejszej europejskiej cywilizacji i kultury. Na tem jednak nie poprzestał. Z pracą cywilizacyjną szła w parze praca misyjna. Katoliccy mnisi uczyli pierwotne ludy Europy nie tylko rolnictwa i rzemiosła, ale jednocześnie głosili im Jezusa Chrystusa, budowali kościoły, zakładali szkoły i klasztory. W ten sposób cała Europa została około roku 1200 dzięki właśnie Kościołowi Rzymsko-Katolickiemu ostatecznie schrystjanizowana.

Ale z biegiem czasu sam Kościół coraz to bardziej schodził na bezdroża. Ze wzrostem wpływów kapłana rosła też i żądza władzy, która im dalej tem bardziej skupiała się w jednej osobie biskupa rzymskiego, zwanego papieżem t. j. ojcem wszystkich chrześcijan, chociaż Chrystus nauczał, że mamy jednego tylko ojca — Ojca w niebiesiech. Papież obwołał się Namiestnikiem Chrystusowym i Jego zastępcą na ziemi, uzurpując sobie wyłączne prawo do prawdy i nauczania. Nic dziwnego, że im dalej tem więcej do prostej nauki Chrystusowej przybywało nauk i wymysłów czysto ludzkich, które niczem ciernie chciały zadusić ziarno czystego Słowa Bożego. Księgę, która to Słowo Boże zawierała, poczęto uważać nieledwie za księgę kacerską, z której się jeno błąd i herezja rodzi. Zabroniono ją czytać ludowi, aby znać oczu nie przetarł i nie zawołał jak ongiś Chrystus w świątyni: uczyniliście z Kościoła wszystko inne, jeno nie Świątynię Pańską. Lud jej nie czytał, bał się św. inkwizycji, zresztą czytać nie umiał, a zbożny mnich czytywał jeno brewiarz i żywoty świętych, ukradkiem patrząc z nad pulpitu na rozkosze i pokusy tego świata. Na stolcu papieskim działy się gorszące rzeczy—kwitł nepotyzm i rozpusta. W wiecznem mieście kapłani przy ołtarzach kupczyli rzeczami świętemi, byleby więcej grosza na uciechy światowe zarobić. Zjawił się wprawdzie Humanizm i smagnął biczem ironji świętoszków, ale zła w Kościele naprawić nie zdołał, poniaważ sam był ruchem czysto świeckim. Na tronie papieskim zamiast dawnych nieuków zasiedli wprawdzie światli humaniści, podrwiwający sobie z wierzeń ciemnego kleru, ale dbali oni nie o Kościół Chrystusowy, a o umocnienie i uświetnienie swego tronu. To też choć tu i ówdzie powstał mąż Boży, grzmiący jak starzy izraelscy prorocy przeciwko złu w Kościele, to był on znowu tylko głosem wołającego na puszczy. Udziałem takiego śmiałka stawał się loch ponury, tortura, stos męczeń-

[1]) Por. Mk 11_{15-17}, Mt 21_{12-13}, Łk 19_{45-46}, Jan 2_{13-16}.

ski, lub gorzkie szyderstwo. Kościół nie nazywał go swym najlepszym synem, ale kacerzem i heretykiem i jako pomiot djabelski wyklina i palił „ad maiorem Dei gloriam"—ku powiększeniu chwały Bożej. Ale nie poszła na marne krew męczeńska! Płonące wśród klątw Chrystusowego namiestnika stosy Waldensów i Albigensów, stos Husa i Savanaroli, stały się zarzewiem i hasłem nowego oczyszczenia Świątyni, któremu na imię Reformacja.

Początkiem jej to dzień 31 października 1517 r. W dniu tym rzymsko-katolicki mnich augustjański, Doktór Teologji Marcin Luter, przybił w mieście Wittenberdze na drzwiach zamkowego kościoła 95 tez, skierowanych przeciwko pewnym nadużyciom w Kościele. I choć nie było wtedy telefonu, telegrafu i radja tezy Lutra jak żywiołowy huragan w ciągu 14 dni obiegły całe Niemcy. Wyjałowione bezdusznym ceremonjałem i kultem świętych ludzkie dusze entuzjastycznie przyjęły na nowo wieść o oczyszczeniu Kościoła i o Jezusie Chrystusie Ukrzyżowanym.

Wyrosły na średniowiecznej scholastyczno-pelagjańskiej nauce o dobrych uczynkach i zasłudze handel odpustami osiągnął w początkach XVI w. swój punkt kulminacyjny. Budził on w sercach co lepszych synów rzymskiego Kościoła odruchy zdecydowanego protestu przeciwko kupczeniu sprawą zbawienia ludzkiej duszy. Wtedy to właśnie. Dr. Marcin Luter wbrew całej ówczesnej potędze rzymskiego Kościoła rzucił w świat szeroki słowa, które stały się zarzewiem nowego ruchu religijno-kościelnego. Słowa te, które Lutrowi zjednały z jednej strony klątwę papieską i miano heretyka, z drugiej—miano wielkiego reformatora, bynajmniej nie były jego wynalazkiem. Był on ich, jeśli się tak wolno wyrazić, odkrywcą. Zapomniane na przestrzeni dziejów Kościoła chrześcijańskiego, zostały one na nowo przez Lutra odkryte i chrześcijańskiemu światu przypomniane. Za sprawą Lutra wywołały one ogromną rewolucję religijną chrześcijańskiego świata. Są to słowa ap. Pawła, które pisał on w swym liście do zboru w Rzymie, później, o ironjo, przez ten Rzym zapomniane. „Mamy za to — pisał Rzymianom ap. Paweł — że człowiek bywa usprawiedliwiony przez wiarę, bez uczynków zakonu" (Rzym 3_{28}). Rzym jednak, nie bacząc na zasługę i zadośćuczynienie Chrystusa, stworzył niebawem naukę o dobrych uczynkach i zasłudze człowieka. Jest to t. zw. pelagjanizm. Wprawdzie pelagjanizm jako nauka heretycka został początkowo przez Kościół potępiony, niemniej jednak zdołał on wedrzeć się do systematu nauki kościelnej w postaci t. zw. semipelagjanizmu t. j. pół-pelagjanizmu i istnieje w Kościele Rzymsko-Katolickim po dzień dzisiejszy. Ewangelicyzm, bez względu na różnice i denominacje w nim istniejące, zwartym obozem potępił i przekreślił katolicki pelagjanizm, podkreślając za ap. Pawłem i Augustynem w dziele zbawienia jedyny czynnik — wiarę (fides iustificationis, nie fides historica — ślepą wiarę). Katolicyzm, zadufany w swej prawowierności, nigdy nie kusił się o zrozumienie tej odwiecznej apostolsko-augustyńskiej prawdy. Apostoła Pawła i Augustyna uważa za świętych, ale naukę ich potępia i wyszydza, wkładając Lutrowi w usta rzekome motto ewangelickiej nauki: grzesz mocno, a wierz jeszcze mocniej. Pocieszna to niekonsekwencja i mniej pocieszna inteligencja teologiczna! I odtąd świat chrześcijański podzielił się na dwa obozy. Jeden, katolicki, woła: człowiecze, zbawienie uzyskać możesz jedynie u mnie za cenę dobrych uczynków i uświęcającej cię łaski Bożej,—drugi zaś, ewangelicki, woła: człowiecze, zbawienie uzyskać możesz wszędzie za darmo, ale jedynie i wyłącznie przez wiarę w Jezusa Chrystusa, która nie jest twą zasługą, ale również darem Bożym. Proś oń, a napewno go otrzymasz. Co do swych uczynków to się nie łudź wcale, albowiem twoje choćby najlepsze i najdoskonalsze uczynki niczem są przed Bogiem. Ty sam i cały ród ludzki zostaje pod przekleństwem grzechu i wszystkim bez wyjątku niedostaje chwały Bożej. Jeśli zaś będziesz zbawiony to zupełnie darmo z łaski Bożej przez wiarę w Jezusa Chrystusa, a twoje dobre uczynki nie są twą zasługą, ale obowiązkiem i potwierdzeniem twej wiary,—albowiem wiara bez uczynków jest martwą.

W tym samym mniej więcej czasie i niezależnie od Lutra w kraju Helwetów rzymsko-katolicki kapłan Huldrig Zwingli w mieście Zurychu, a w ślad za nim niebawem i Jan Kalwin w Genewie poczęli również wzywać lud do nawrotu do pierwotnego, apostolskiego chrześcijaństwa. Może nie we wszystkich szczegółach zgadzały się poglądy tych Reformatorów, ale fundamentalna istota ich nauki była jednaka, a mianowicie: Jezus Chrystus jest jedyną podstawą, Pismo Św. jedynym środkiem, a wiara jedynym warunkiem zbawienia. Nie ten, czy inny dobry uczynek, nie taka czy inna przymowa tego lub owego świętego zbawia człowieka, ale sam Bóg z łaski swej przez wiarę w Jezusa Chrystusa, której jedyną normą i podstawą jest Pismo Św. St. i N. Testamentu. Wszystko więc czego niemasz w Piśmie Św. musi precz ustąpić, a więc cześć świętych, obrazów, relikwij, różaniec, czyściec i msza, boć więcej należy słuchać Boga, niż ludzi.

Bezpośrednią przyczyną wystąpienia Lutra był handel odpustami. Czyż nie było to samo, co za czasów Chrystusa Pana, handel ofiarnemi zwierzętami? Nie kupował sobie człowiek tu i tam za grosze zbawienia?! Czyż nie zamieniono tu i tam pokuty serca w pokutę kieszeni, a ofiarną służbę Bogu w interes kupiecki? Czyż różaniec to co innego, niż płatne modlitwy, zmawiane przez żebraków u wrót Sa-

lomonowej Świątyni? Chwyciłci też Luter za bicz, chwycił też Zwingljusz i Kalwin za miotłę i jęli kupców wypędzać z Chrystusowej Świątyni. Dziś, kiedy z perspektywy wieków patrzymy na owo oczyszczenie Kościoła w XVI stuleciu, wyobraźnia maluje nam przed oczyma Chrystusa stojącego z powrozem w ręce w jerozolimskiej świątyni, a z głębi serca wyrywa się podzięka Bogu za to, że zasię użył jako miotły i bicza różnych Lutrów i Kalwinów, którzy Kościół Boży oczyścili i nauczyli nas wołać za ap. Pawłem: sprawiedliwy z wiary w Jezusa Chrystusa żyć będzie!

Tę oto starą, zapomnianą przez Kościół Rzymsko-Katolicki Ewangelję Chrystusową, odkrył właściwie już Piotr Waldo (Valdes), kupiec lijoński, ale na światło dzienne wyniósł ją dopiero mnich augustjański Dr. Marcin Luter. To wielka jego zasługa. Nie pomniejszając w niczem przeolbrzymich jego zasług (których zresztą skromnym artykułem pomniejszyć nie można), trzeba bezstronnie zauważyć, że jednak on sam ewangelicyzmu nie stworzył. Brzmi to może nieco dziwnie i paradoksalnie, nie mniej jednak dziełem Lutra nie jest ewangelicyzm, a tylko luteranizm, protestantyzm, bunt i protest religijnej duszy, olśnionej radosną wieścią (Ewangelją) o zbawieniu z łaski, przeciwko wykoszlawieniu przez Kościół nauki Jezusa Chrystusa.

Ks. prof. Kesselring w przewspaniałej prelekcji, wygłoszonej z okazji Święta Reformacji, stwierdza, że Luter nie wywołał ani nie stworzył z całą świadomością środków i celów okresu Reformacji. Nie wystąpił on również samorzutnie, bo drogę przygotowali mu już inni przedtem jak Piotr Waldus, John Wiclif i Jan Hus [1]). I rzeczywiście, na powstanie Reformacji nie wystarczyłoby samego przybicia tez na drzwiach zamkowego kościoła w Wittenberdze przez mnicha „nie ściągającego na siebie prawie żadnej uwagi“ (Ks. prof. Kesselring), gdyby już przedtem humanizm, prądy kulturalno-intelektualne, a nawet religijno-społeczne, nie były się wcześniej na to złożyły, czego później wykładnią i urzeczywistnieniem stała się Reformacja.

I jak Luter nie stworzył świadomie okresu Reformacji, tak również nie stał się on odrazu świadomie reformatorem, ale podobnie jak i Hus stał się nim dopiero z czasem i to tylko przypadkowo. Śmierć przerwała im ich dalszy rozwój, boć gdyby byli dłużej żyli poszliby w swem reformatorstwie niewątpliwie jeszcze dalej. Obaj rozpoczęli swą reformatorską działalność nie od Ewangelji, lecz od walki ze złem, zakorzenionem w Kościele. Z Kościoła nie zamierzali wystąpić, nie chcieli z nim zrywać. Kochali go głębią swej katolickiej kapłańskiej i mnisiej duszy, nad złem jego boleli. Przeciwko temu złu wystąpili i to doprowadziło ich obu do „herezji“. Luter nie chciał tworzyć „herezji“, a mimowoli stworzył „wielką herezję“. Luter chciał być katolikiem i to dobrym katolikiem, a stał się „protestantem“ poprostu dlatego, że Kościół był od niego silniejszy. Ale nic dziwnego! Luter był pierwszym, który począł Ewangelji drogę szerzej torować. Nie mógł on odrazu stać się reformatorem, mógł tylko powoli nim się stawać. Kiedy przekonał się, że do zgody z Kościołem nie dojdzie, musiał z nim zerwać. Z katolicyzmu zatrzymał jednak zrazu wszystko, co się tylko dało zatrzymać i co można było pogodzić z Pismem Św. W teologji Lutra podstawowa nauka o sakramentach, nie mówiąc już o innych rzeczach, pozostała w gruncie rzeczy katolicka, nie stała się ona ewangelicką. Luter przez dłuższy czas wbrew Karlstadtowi i Melanchtonowi zajmował niejasne i chwiejne stanowisko wobec nauki i obrzędów katolickich.

Ciekawa i znamienna jest rozmowa Melanchtona z Lutrem przed ostatnią podróżą Lutra do Eisleben. Melanchton poruszył mianowicie sprawę Wieczerzy Św. i otwarcie się wypowiedział, że nauka Kalwina, dotycząca tego sakramentu, jest znacznie bliższa nauce Ojców Kościoła, niż nauka Lutra. Luter chwilę milczał jakgdyby się wahał, wreszcie odezwał się: „Drogi Filipie, przyznaję, żeśmy się w tym sakramencie zagalopowali“.—„Napiszmy tedy dzieło — odrzekł na to Melanchton,—któreby rzecz całą złagodziło, aby prawda była zachowana, a Kościoły mogły ze sobą pogodzić się“.—„Drogi Filipie, — rzekł Luter — często i wielokrotnie już o tem myślałem, ale w ten sposób cała nauka stałaby się podejrzaną. Polecę to Wszechmocnemu Bogu. Uczyńcie też i wy coś po mojej śmierci“.

Oczywiście Melanchton, oddawna sympatyzujący z nauką Kalwina, nie robił z tej rozmowy żadnej tajemnicy. Opowiedział o niej Ursinusowi z Wittenbergi, Alessiusowi z Lipska i Hardenbergowi z Bremy. Rzecz ta dalej się rozniosła. Alesius opowiedział ją Pezel'owi, Hospinianowi i wielu innym. Hardenberg, aby się o tem dobrze upewnić, wysłał nawet do Wittenbergi rajcę miasta Bremy magistra Schlonkgrawe'go. Rzecz jednak nabrała odpowiedniego rozgłosu znacznie później w związku z wynikłym w Heidelberdze sporem teologicznym. Wieść o rozmowie Melanchtona z Lutrem zawiózł do Heidelbergu Ursinus. Stąd właśnie doszły o tem słuchy Fryderyka III Pobożnego, Kurfyrsta Palatynatu, żywo interesującego się sprawą Reformacji. On to polecił Erastowi napisać do rajcy miasta Bremy i rzecz całą od początku wyjaśnić. Odpowiedź Hardenberga była wyczerpująca i w całości potwierdzająca krążące wersje o zmianie poglądów Lutra na sakrament

[1]) Ks. Prof. D. Dr. R. Kesselring: Czego nas współczesnych w Polsce uczą dzieje Reformacji? W Głosie ewangelickim Nr. 47.

Wieczerzy Św. [1]). Rzecz cała opiera się więc na takich powagach, że nawet ze stanowiska historyczno-krytycznego zakwestjonować jej nie można.

Niedociągnięcie reformowanej myśli Lutra mści się na ewangelicyzmie po dzień dzisiejszy. Gdyby Luter żył dłużej i gdyby rozmawiał w Marburgu nie w r. 1529, a w 20 lat później i nie z Zwinglim a Kalwinem, to może dziś nie byłoby wcale ani Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, ani Kościoła Ewangelicko-Reformowanego, a byłby natomiast jeden Kościół Ewangelicki i ewangelicy nie uprzykrzaliby sobie wzajemnie życia i nie zamykali sobie wzajemnie bram do Królestwa Niebieskiego, jak to kiedyś słusznie zauważył Głos Ewangelicki. Luter, człowiek o głęboko religijnej duszy, dla którego obecność Chrystusa w opłatku była tak realna, że rwał i miażdżył swymi zębami ciało Chrystusowe, a krew jego chłeptał, nie mógł przecież Zwingljuszowi, uczonemu humaniście, dla którego Wieczerza Pańska była tylko czcigodną pamiątką ostatniej wieczerzy Chrystusowej, inaczej powiedzieć, niż „wy macie innego ducha". Różnica była tu rzeczywiście zbyt istotna, aby można było dojść do porozumienia. I przeto choć w 14 punktach Luter uzgodnił swe poglądy z poglądami Zwingljusza, rozszedł się z nim stanowczo w punkcie 15, traktującym właśnie o Komunji Św. Inaczej niż Zwingljusz pojął Komunję Kalwin. Zmienił również później i Luter swe zdanie. Nie rzekłby z pewnością Kalwinowi: masz innego, niż ja ducha.

Luteranizm jednak nie wybiegał poza Lutra, na nim poprzestał, chociaż założyciel jego wyraźnie rzekł: „uczyńcie też i wy coś po mojej śmierci". Owszem, luteranizm nie poszedł nawet za kalwinizującym Melanchtonem, ba, mówi o nim niewiele, jakby niechętnie, choć bez niego luteranizm tak samo jest nie do pomyślenia, jak jest nie do pomyślenia chrześcijaństwo bez ap. Pawła. Niedociągnięcie reformacyjnej myśli cechuje luteranizm po dzień dzisiejszy. W tem również zapewne tkwi pewien sentyment wyznawców Lutra dla Katolicyzmu, którzy niejednokrotnie uważają swoje wyznanie za najlepsze tylko dlatego, że jest ono czemś pośredniem pomiędzy jednostronnym katolicyzmem a radykalnym kalwinizmem. Kiedyś już nawet na łamach „Jednoty" wywiązała się na ten temat ożywiona polemika. Wyznawcy Lutra, żyjący szczególnie wśród większości katolickiej, jak np. u nas w Polsce, niejednokrotnie w swym sentymencie dla katolicyzmu posuwają się tak daleko, że poprostu legitymują swój ewangelicyzm katolicyzmowi. Aby się o tem przekonać wystarczy wziąć do ręki pierwszy z brzegu numer lulerskiego pisma. W numerze 44 Zwiastuna Ewangelicznego w niezmiernie ciekawym i aktualnym artykule „Tezy dyskusyjne" pióra Ks. Zygmunta Michelisa, autor jego coraz to bardziej cieszy się z tego, czego mu zresztą nikt za złe wziąć nie może, że jest luteraninem, że „należy do tego odłamu Reformacji, który zachował żywe odczucie tajemnicy sakramentu i zrozumienie dla mistycznego obcowania z Bogiem w świętych symbolach". Lichy to ewangelicyzm, który „cieszy się" z „mistycznego" obcowania z Bogiem. Przecież żeby się cieszyć z mistycznego obcowania z Bogiem to niekoniecznie jeszcze trzeba być luteraninem, wystarczy być katolikiem. Katolicyzm nastręcza człowiekowi znacznie więcej powodów do radości z mistycznego obcowania z Bogiem, niż luteranizm, bo „odczucie tajemnicy sakramentu i zrozumienie dla mistycznego obcowania z Bogiem w świętych symbolach" jest znacznie żywsze i „głębsze" w katolicyzmie, niż luteranizmie. Łatwo się o tem przekonać na każdej choćby najskromniejszej mszy św., odprawianej w najuboższym nawet wiejskim rzymsko-katolickim kościele. Czy to ma być powód do dumy lub radości ze swego luteranizmu lub ewangelicyzmu?! Jeśli tak, to w takim razie śmiało można pisać o „ołtarzu", przy którym ksiądz odprawia radosną służbę „kapłańską" Ewangelji Nowego Testamentu. Oczywiście wiem, że autor „Tez dyskusyjnych" słów „ołtarz" i „kapłaństwo" używa tylko w przenośni, ale do kompletu dodajmy do nich również w przenośni pojęte słowo „ofiara", a otrzymamy (oczywiście tylko w przenośni) przewspaniały rzymski ewangelicyzm. Brzmi to już nie tyle przenośnie ile nieznośnie!

Jeszcze lepiej popisuje się lub, używając jego obrazowego języka, „się..... wysadza" Głos Ewangelicki w numerze 44 w artykule redakcyjnym „W rocznicę Reformacji" wygłasza snać dla pokrzepienia swego „luterskiego" ducha piękne i mocne, choć nieco w powietrzu zawieszone zdanie: „jeden Marcin Luter dokonał należycie dzieła, On jeden zasłużył na miano Wielkiego Reformatora, On jeden reformę Kościoła doprowadził do końca". Głos Ewangelicki ma tu niewątpliwie słuszność, sam bowiem porównuje Lutra tylko z Waldusem, Wiclifem, Husem i Savanarolą. Ale kilka wierszy niżej naiwnie przyznaje się, że mimo doprowadzenia „reformy Kościoła do końca" „tylko my (luteranie, przyp. mój) i katolicy w Komunji Św. uznajemy prawdziwe Ciało i prawdziwą Krew Jezusa Chrystusa (podkreślenie Głosu Ew.), a liturgja naszego Kościoła wprost uderzająco podobna jest nieraz do rzymsko-katolickiej liturgji...". Widać stąd jasno, jak głęboko pojmuje Głos Ewange-

[1])Zamieszcza ją Kohlmann w Reformierte Kirchenzeitung 1893, Nr. 40, oraz Dr. E. Stähelin: Leben und ausgewählte Schrifften der Väter und Begründer der Reformierten Kirche, tom IV, część I, str. 228 i 229. Ciekawe również w tym względzie są listy Kurfyrsta Fryderyka III pisane do zięcia Jana Fryderyka Saskiego, luteranina, zebrana przez A. Kluckhohn'a, Braunschweig, 1868 str. 540 i 557—558.

licki „reformę Kościoła“. Realna obecność Chrystusa w opłatku i liturgja imitująca liturgję katolicką ma być, zdaniem Głosu Ewangelickiego, ewangelicyzmem i doprowadzeniem „reformy Kościoła, do końca“. Gdyby autor tego artykułu przeczytał sobie uważnie 6 rozdział ewangelji Jana, szczególnie wiersz 63 i pomyślał chwilę „do końca“ rychłoby doszedł do.., kalwińskiego końca i zawołał jak niegdyś poczciwy nasz współwyznawca szlachecki: „Ojcze nasz, który jesteś w niebie... a kiedy jesteś w niebie, to nie jesteś w chlebie“. Zdaje się, że Głos Ewangelicki jest bardziej „luterski“, niż sam Luter, który przecież nigdy nie legitymował swej nauki katolicyzmem, a pod koniec życia skłaniał się nawet do kalwińskiego ujęcia sakramentu Wieczerzy Św.

Twórcą ewangelicyzmu jest Kalwin. Zapłodniony reformacyjną myślą Lutra poszedł on dalej od Mistrza. Z katolicyzmem zerwał radykalnie na całej linji. Nic z katolicyzmu, a wszystko z Ewangelji, precz ze wszystkiem czego niemasz w Piśmie Św. — oto przewodnia myśl Kalwina. I to właśnie jest ewangelicyzm, a nie protestantyzm. Luter „protestuje“ przeciwko nauce Kościoła, Kalwin ją „uewangelicznia“. Bez Kalwina niemasz ewangelicyzmu!

E. Doumerque w swej olbrzymiej biografii o Kalwinie [1]) twierdzi, że Le Févre d'Etaples (Faber Stapulensis) już w roku 1512 w swym komentarzu do listów ap. Pawła wypowiadał się o usprawiedliwieniu, o wierze i o dobrych uczynkach tak dalece w duchu reformacyjnym, że pierwszą zapowiedzią Reformacji nie są tezy Lutra, lecz dzieło Stapulensisa. Jeszcze dalej idzie James Good. Twierdzi on, że Le Fèvre zniósł jaje Reformacji, a wylęgli je dopiero Reformatorowie. Ojcem zatem Reformacji, według Good'a nie jest ani Luter, ani Kalwin, lecz le Fèvre [2]). Nie mniej jednak ewangelicyzmu w ścisłem tego słowa znaczeniu nie stworzył ani le Fèvre, ani Luter, tylko Kalwin. On rzeczywiście reformacyjną myśl konsekwentnie doprowadził „do końca“.

Również w dziejach ewangelickiego Kościoła pierwszorzędną i decydującą rolę odgrywa nie duch Lutra, a Kalwina. Uniwersalizm jego myśli i ducha zerwał wszelkie narodowo-państwowe pęta i szeroką lawą niezliczonej ilości wyznań i denominacij ewangelickich rozlał się po całym chrześcijańskim świecie. Narodowe Kościoły Reformowane i Prezbiterjańskie kontynentu europejskiego i amerykańskiego, oraz wysp Brytańskich, angielscy independenci, kwakrowie, purytanie, baptyści, herrnhuci, anglikanie, metodyści, darbiści i t. d. — to wszystko jedna duchowa kalwińska rodzina. Wszyscy oni w mniejszym lub większym stopniu zawdzięczają swą naukę i ideologję uniwersalnemu duchowi Kalwina. W przeciwieństwie do luteranizmu, który związał się silniej niż trzeba z niemieckością i narodami germańsko-skandynawskiemi, Kalwinizm w formie tego czy innego wyznania ogarnął wszystkie nieledwie narodowości europejskiego kontynentu. Kalwin z urodzenia Francuz z ducha stał się Helwetą, nie przestał miłować swej ojczyzny, ale miłować potrafił i inne narody. Niemiec Luter pozostał na zawsze tylko Niemcem, tak jak Hus na zawsze pozostał tylko Czechem.

Walkers w swej historji kościelnej powiada o Lutrze, że rasa jego tak głębokie wycisnęła w nim piętno, że Francuzowi czy Włochowi po dzień dzisiejszy trudno go zrozumieć. Tylko Anglosasi i to rzadko, umieli wznieść się do pełnego radości podziwu, z jakim niemiecki protestant wypowiada imię Lutra [1]). To też nie jest dziełem przypadku, ani sprawą tylko Hitlera, że dziś w ojczyźnie Lutra i wśród jego wyznawców rodzi się „germańska wiara“; również nie jest dziełem przypadku, że przeciwko niej występuje duchowy syn Kalwina — profesor Karol Barth; nie jest także dziełem przypadku, że właśnie reformowani bronią się jak mogą najgoręcej przed zakusami Niemieckich Chrześcijan, przepojonych separatystycznym duchem germaństwa!

Podobnie miała się rzecz z Reformacją w Polsce. Nie ulega wątpliwości, że chronologicznie wcześniejszy luteranizm z natury rzeczy wcześniej od kalwinizmu przedostał się do Polski, a właściwie tylko na teren Rzeczypospolitej, albowiem szerzył się on nie tyle wśród Polaków, ile wśród Niemców, osiadłych w Polsce, wśród niemieckiego i zniemczonego mieszczaństwa. Ogół jednak szlachty i magnaterji, stanowiących w ówczesnem pojęciu naród polski, do luteranizmu nie przystał. Książęta Radziwiłłowie, Kniazie Holszańscy i Hołoczyńscy, Firleje, Myszkowscy, Ossolińscy, Zamojscy, Tarnowscy, Ostrorogowie, Mikołaj Rej i Jan Łaski, a nawet Sobiescy (dziad i stryj króla Jana III) to nie luteranie, a kalwini. Reformacja polska była kalwińska, a nie luterska, innowiercy polscy byli „ewangelikami“, a nie „protestantami“. Słusznie więc Głos Ewangelicki tytuł „polscy protestanci“ zastrzega tylko dla wyznawców Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego i nie narzuca go ewangelikom reformowanym [2]),

[1]) Tom I, str. 81 i nast.

[2]) James J. Good: The Reformed Reformation, The Heidelberg Press, 1916, str. 2.

[1]) Williston Walkers: A History of the Christian Church, New York, 1921, str. 336 i nast.

[2]) Głos Ewangelicki (Nr. 44, w rocznicę Reformacji) pisze, że nazwa protestanci polscy przysługuje właściwie tylko luteranom. I ma najzupełniejszą słuszność. Ale gdybym chciał na wzór Głosu Ewangelickiego „się... wysadzić na dowcip i zgryźliwość“ śmiało mógłbym napisać, że np. ewangelicy reformowani nie byli nigdy „protestantami“, ale natomiast zawsze byli „ewangelikami“ i ta nazwa „właściwie“ tylko reformowanym przysługuje, a Głos Ewangelicki winien o tem pamiętać i nie nadużywać jej choćby już w swoim tytule. Ale nie chcę się tak „wysadzać“ i przeto nad-

bo ci z dawien dawna nazywali się w Polsce ewangelikami, w przeciwieństwie do wyznawców Ecclesiae augustanae confessionis (oficjalna dawna nazwa), których zwano tylko luteranami.

Reasumując wszystko śmiało można powiedzieć: wielkie jest dzieło Lutra i Zingljusza, ale bez Kalwina nie byłoby ono zupełnem i dokończonem. Luter je rozpoczął, Kalwin mistrzowsko je skończył. d. c. n.

mienię, że od czasu utworzenia w r. 1817 w Prusach Unji Kościołów augsburskiego i reformowanego, której członków dla wygody zwano w skróceniu tylko ewangelikami, bracia luteranie tak się przejęli ideą panewangelicyzmu, że poczęli samych siebie nazywać ewangelikami, jakgdyby nimi byli tylko oni.

WIADOMOŚCI Z KOŚCIOŁA I O KOŚCIELE.

Ze Zboru stołecznego w Warszawie.

W myśl decyzji, powziętej na posiedzeniu w dn. 12 b. m. oraz w wykonaniu postanowienia Ogólnego Zgromadzenia Zboru z dn. 31.X b. r. Kolegjum Kościelne podaje do publicznej wiadomości, iż rozpoczęło ono akcję, mającą na celu zebranie odpowiednich środków materjalnych na ufundowanie sumptem członków Zboru nagrobka na mogile zmarłego w roku 1930 ś. p. Księdza Superintendenta Władysława Semadeniego, I Pasterza Zboru, oraz sprawienie portretu zmarłego i umieszczenie go w sali Zborowej.

Ofiary na ten cel przeznaczone wpłacać mogą członkowie Zboru do kasy kościelnej, gdzie od 31.X b. r. wyłożona została specjalna lista składek. Kancelarja kościelna (Leszno 20) czynna jest codziennie, oprócz Niedziel i dni świątecznych, od godziny 9 r. — 4 pp. Składki mogą też być wpłacane na konto czekowe P. K. O. Nr. 3457 z oznaczeniem celu.

* * *

Pod tytułem: „Pójdźmy za Nim“ ukazała się w druku książeczka, zawierająca wybór pięknych i pokrzepiających wyroków z Pisma Św. na każdy dzień roku. Każdy miesiąc rozpoczyna się od pięknego wiersza. W wyborze tekstów zostały uwzględnione święta kościelne i narodowe. Poniżej każdego tekstu pozostawione jest miejsce na własne uwagi lub notatki. Książeczka w kartonowej oprawie jest do nabycia w cenie zł. 1.25 w sprzedaży detalicznej i zł. 1.00 w sprzedaży hurtowej w kancelarji Kolegjum Kościelnego oraz w Przytułku dla Sierot (Leszno 20). Praca ta wydana została staraniem Związku Przyjaciół Myśli Wewnętrznej i Koła pracy Samarytańskiej przy Zborze naszym.

Gorąco polecamy Szanownym współwyznawcom naszym, jak również wszystkim miłującym prawdę Chrystusową zainteresowanie się powyższem wydawnictwem.

Dochód ze sprzedaży książeczki, po pokryciu kosztów nakładu, przeznaczony jest wyłącznie na cele miłosierdzia.

Polskie Towarzystwo Miłośników Pisma Ś-go.

Istniejące od roku „Polskie Towarzystwo Miłośników Pisma Świętego“ wydało w b. r. „Czytanki“ miesięczne do codziennego użytku. „Czytanki“ przyjęły się wśród ogółu ewangelików polskich, jako że podają czytelnikom Pisma Ś-go praktyczne wskazówki i objaśnienia tekstu. Nadają się one szczególnie dla początkujących czytelników Biblji. Towarzystwo przygotowuje „Czytanki“ na pierwsze półrocze 1934 r. Można je otrzymać u Sekretarza honorowego Towarzystwa w Warszawie, Mokotowska 12. Składka członkowska roczna wynosi złotych dwa. P. K. O. 2350. Ew. Pol.

Czterechsetlecie Reformacji Genewskiej.

Od Komitetu organizującego obchód czterechsetlecia Reformacji Genewskiej otrzymaliśmy pismo treści następującej.

Czcigodni Bracia!

Mamy zaszczyt zawiadomić Was, że cała protestancka Genewa ma zamiar odbchodzić uroczyście w roku 1936 czterechsetlecie przyjęcia Reformacji przez lud genewski, i wierzymy niezłomnie, że i wy zechcecie połączyć się z nami w tym obchodzie.

Dzień 21 maja 1536 roku jest chwilą uzyskania przez miasto nasze niezawisłości politycznej i religijnej na mocy postanowienia ludu, który, zgromadzony na Radzie Generalnej, uchwalił żyć odtąd „według świętych praw ewangelicznych i Słowa Bożego“.

W dniu tym obywatele miasta naszego, pobudzeni do czynu płomienną wymową Farela i przykładem swych zwierzchników, oraz wspierani przez potężną rzeczpospolitą Berneńską, założyli trwałe podwaliny budowli, którą Bóg pozwolił naszym Reformatorom wznieść w murach naszych.

Począwszy od roku 1536 Jan Kalwin rozpoczął z całą gorliwością pracę nad odnowie-

niem i odrodzeniem religijnem, do czego Luter i Zwingljusz położyli podwaliny i co zapoczątkowane zostało w Genewie i Szwajcarji romańskiej przez Farela i Vireta.

Kalwinowi też zawdzięczamy Ustawę Kościoła Reformowanego Genewskiego oraz powstanie Uniwersytetu w tem mieście.

Rok 1536 jest rokiem wydania i opublikowania „Instytucji Religji Chrześcijańskiej", tego wspaniałego zbioru komentarzy Pisma Świętego, tego niepospolitego wykładu, wnikającego w głębie prawd ewangelicznych,—dzieła, które przyczynić się miało do odnowienia Ducha Świętego w sercach i w życiu wiernych wyznawców Chrystusa.

Czcigodni Bracia! niebo jest dziś pokryte ciężkiemi chmurami. Świat przeżywa kryzys niezwykłej doniosłości i ze wszystkich stron rozbrzmiewają głosy buntu przeciwko Kościołowi i Bogu. Odczuwamy też wyraźniej niż kiedykolwiek potrzebę łączenia się i utrwalania naszej wiary w szkole wielkich sług Bożych oraz przysposabiania się do wypełnienia dzieła dnia jutrzejszego, słuchając lekcji przeszłości.

Nasz obchód jubileuszowy będzie prawdopodobnie wyznaczony na dzień 15 lub 17 maja 1936 roku.

Prosząc przeto Boga o błogosławieństwo dla Kościołów Waszych. a także o to, aby ten zamierzony obchód przyczynił się do większej chwały Imienia Jego i pomyślnego rozwoju Ewangelji, serdecznie Was prosimy o przyjęcie zapewnienia uczuć naszych braterskich.

Genewa; w dzień Zesłania Ducha Św. 1933 r.

Prezydent: *J. E. Choisy* prof.
Sekretarz: *F. Thormeyer.*

OFIARY.

Na wydawnictwo „JEDNOTY".

Oprócz prenumeraty wpłacili na wydawnictwo:

W-y pan Generał Aleksander Litwinowicz — Grodno Zł. 8.00

Serdeczne dzięki!

Kolegjum Kościelne Zboru ewang. reformowanego w Warszawie prosi Szanownych współwyznawców o nabywanie na własność nowych naszych śpiewników kościelnych.

Śpiewniki są do nabycia, w cenie zł. 12 za egzemplarz bez oprawy i zł. 15 w oprawie, w dnie powszednie w kancelarji kościelnej (Leszno 20), w niedziele po nabożeństwie u zakrystjana przy wyjściu z kościoła.

Wszystkim Szanownym prenumeratorom i czytelnikom „Jednoty" życzy błogosławionych Świąt Pamiątki Narodzenia Pańskiego i szczęśliwego a pomyślnego Nowego Roku

Redakcja.

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

w Warszawskim Kościele Ewangelicko-Reformowanym na miesiąc styczeń 1934 r.
Nabożeństwa rozpoczynają się o godzinie 11.15 przed poł., o ile nie jest podana inna godzina.

1. Poniedziałek, dn. 1.I 34 r. (Nowy Rok) z Komunją Ś-tą o godzinie **10** rano . Ks. E. Jelinek.
2. Niedziela, dn. 7.I (N. I po Objawieniu P.) . . . . . Ks. J. Jelen.
3. Niedziela, dn. 14.I (N. II po Objawieniu P.) . . . . . Ks. E. Jelinek.
4. Niedziela, dn. 21.I (N III po Objawieniu P.) z Komunją Ś-tą i bezpośredniem do niej przygotowaniem . . . . . Ks. St. Skierski.
5. Niedziela, dn. 28.I (N. Starozapustna) . . . . . Ks. J. Jelinek.

CENY OGŁOSZEŃ: IV str. okładki — zł. 150; II str. — 100; III str. — zł. 75; ½ str. — zł. 75, 50, 35; ¼ str. — zł. 40, 30, 20, i ⅛ str. bez względu ua stronę — zł. 20.

STRONY ZWYKŁE cała strona — zł. 100, ½ str.— 50; ¼ str.— 30; ⅛— zł. 20. Przy ogłoszeniach kombinacyjnych i z kliszami do cen powyższych dolicza się 30%.

Drukarnia Matematyczna, H. Zajączkowski, Warszawa, Miedziana 3.